

O ZYGMUNCIE WALISZEWSKIM

Śmierć młodego artysty to luka nie do zastąpienia. Życie pokrywa i wygładza wszelkie inne straty. Ale po dziś dzień brak nam obrazów Giorgiona i symfonii Mozarta. Życie prawdziwego artysty to ciągle nabywanie pewności wyrazu, to ciągle ulepszanie tej precyzji, którą jest jego rzemiosło wynikłe z narastających świadomości, wzruszeń i woli. Nikt już nie wykorzysta olbrzymiej siły, którą reprezentowało malarskie i życiowe doświadczenie Waliszewskiego. I nagle jego dzieła zostały podkreślone linią śmierci. Mamy sumować ten wykaz, którego nikt już nie uzupełni. A uczą nas nie tylko jego płótna, ale i jego niezwykle, jedyne w dziejach sztuki, trzydzieści osiem lat życia.

Poznałem Waliszewskiego na wystawie grupy „KP” w „Galerie Zak” w Paryżu. Na kanapie pod oknem siedział młody człowiek bez nogi. Pomimo kalectwa, uderzała jego żywość. Powiedziałbym: żywość całego korpusu. Ale najbardziej żywość i blask oczu. Zaczął mnie zaraz rysować piórem. Spojrzał kilka razy, był to wzrok przenikliwy jak płomień. I rysunek był gotów. Delikatny, o zawrotnym dla mnie wirtuozostwie kilkunastu pociągnięć, prześlicznie ułożony na stronie i bardzo podobny. Gdybym już nie był przedtem znał obrazów Waliszewskiego, byłbym pomyślał, że to robił jakiś genialny dyletant. Pomyślałem o komponowaniu Schuberta. Poczucie artystycznej odpowiedzialności nie zabiło w nim łatwości, której mu nie poskąpił talent.

Wkrótce po tej wystawie nastąpiła amputacja drugiej nogi, a po niej okres może najgorszy: trwogi o los rąk. Straszliwa, mało jeszcze zbadana choroba Bürgera groziła kolejnym atakowaniem nóg i rąk. W tym okresie widywałem nieraz Waliszewskiego. Siedząc na wózku, patrzył nerwowo na ręce. W jego wzroku czaiła się chwilami obłądana panika. Chodziło mu o prawą, przede wszystkim o prawą rękę. Ale pokonywał wszystko. „Trudno mi malować wielkie płótna. Co robić. Małe muszą wystarczyć. Byle tylko czasami wyjechać, popatrzeć na co, bo tak, w pokoju, to ci się tak ten pejzaż obębni, że kosztujesz w końcu”. Malarz przetrzymał wszystko. Malarz zwyciężył człowieka. Nieledwie bez reszty. Pamiętam dreszcz, który mnie przeszedł, gdy usłyszałem, jak mówi o stracie nóg: „To można wytrzymać. Nawet pomaga do koncentracji. Tylko wrażeń teraz mało”. Czym były zimno i głód, tak dobrze znane Waliszewskiemu, czym najgorsza nędza wobec tragedii przykucia malarza na zawsze do wózka, malarza, który na domiar złego bał się i o los własnych rąk? Co działo się w chwilach samotnych? Bo póki było światło, ile mógł, malował. Ale są i inne godziny w życiu. Te, co się zdają bez końca. Komu się marzą jakieś szczęścia, niech o tym pomyśli. Taką siłę może dać zawód, który jest niezachwianą wiarą, a takim zawodem dla Waliszewskiego była sztuka. Wystarczyło przewieźć go przez dwie ulice, a już się entuzjazmował i przejmował od nadmiaru wrażeń jak dziecko. Czasami prosił: „Przystanmy na chwilę”. Pamiętam w krakowskim „Pałacu sztuki” jego obraz, na którym rozpoznałem drzewa, trawnik i czerwone swetry sportowców z parku w Vincennes. Waliszewski widział to może minutę z taksówki, w której wolno przejeżdżał. I znowu wracał na długi szereg dni do swej pracowni w Malakoff. Jak bledną wobec takich faktów czyjekolwiek skargi! Dzisiaj, gdy tyle widzimy niezadowolenia wśród ludzi z najrozmaitszych zawodów, gdy urzędnik chciałby żyć na wsi, rolnik mieć pensję urzędniczą, gdy robotnik chciałby być oficerem, a oficer artystą; dzisiaj przykład Waliszewskiego może wskazywać zamiłowanie zawodu, którego się zmieniać nie chce aż do śmierci, aż po ostatnie tchnienie, choćby nawet i wygodniejszą była jaka inna posada. Waliszewski był jak dawni majstrowie cechowi, w pierwszym szeregu niósł sztandar artystycznej godności i pracy, z dziecinną nieświadomością własnego bohaterstwa.

Przechodzimy codziennie obok tylu tragedii i dramatów (wystarczy spojrzeć na ulicę, pomyśleć, co reprezentuje kronika w dzienniku), że te katastrofy nie narzucają się bardziej

uwadze ludzkiej niż poszczególne krople deszczu na liściach. Ale od czasu do czasu jedno indywiduum ogniskuje w sobie rozrzucone gdzie indziej dolegliwości życia i ludzką na nie reakcję. Wtedy stają się one widoczne dla każdego i nabierają symbolicznego znaczenia. Życie Waliszewskiego było pasmem wytrwałego, codziennego bohaterstwa, a każdy jego nerw był nastawiony jedynie na zawodową pracę, na pracę pojętą naprawdę najszerzej, bez cienia drobnego rachunku, bez cienia tych ustępstw przed „okolicznościami”, które tylu łamią. Nic małostkowego. Nad grobem tego człowieka można każdemu powiedzieć: „Musisz zrobić, co do ciebie należy”. Czy są ludzie, którym taka świadomość będzie obojętna?

Malarstwo polskie zaciska szeregi. Przed rokiem śmierć Larischa, obecnie Waliszewskiego i ostatnio Kazimierza Mitery, oddanego całą duszą sprawie plastyki polskiej, to ciężkie straty dla tych, co wierzą, że sztuka jest najwymowniejszym przejawem życia narodu.

Zygmunt Mycielski, *Szkice i wspomnienia*, Warszawa 1999, s. 5–8.